

Marek Jastrząb

Po-ranne noce (17)

W nich dostrzega sens. Jednak wie, że sens uprawiania publicystyki jest wtedy, gdy ma ona odbiorcę i autor może liczyć na rezonans. A od czasu nazwania gomulłowskiej ekipy dyktaturą ciemniaków, niszczone go prasowym milczeniem. Początkowo cenzurowały go partyjne myszołowy, w późniejszym okresie dołączyli do stada gnębieli bojaźliwi obrońcy praworządności z „Tygodnika Powszechnego”.

Pisze zatem poza PRL, omijając polityczny parnas bęcwałów w walonkach, drukuje u Giedrojcia, w zaciszu paryskiej Kultury, po zaściankowej prasie, w małonakładowych, emigracyjnych gazetkach wydezynfekowanej z rzeczywistości PRL. Jest mało słyszalny, a jeszcze mniej – rozumiany. Z kim by nie gadał, wszędzie jest sam: traktowany z lekceważeniem przez przyjaciół z opozycji, a przez wrogów z aparatu – jak niebezpieczny awanturnik na furiackich papierach; obcy z powodu swojej przenikliwości, wypowiada i o jednych i drugich sądy ostre, bezwzględne, budzące namiętny sprzeciw. I nie tylko o ludziach jest złego zdania, bo i na temat państw wyraża się krytycznie: z uporem przechodzącym w manię twierdzi, że Zachód jak zwykle nie rozumie Wschodu i jest wobec niego nieustraszenie uległy.

Jego teksty nie są letnie, a zawsze kontrowersyjne. Przepojone polemicznym żarem, pisane z ogniem, nie odnosiły spodziewanego skutku. Choć niekiedy jest to ogień przygaszony nazbyt przedłużającym się stresem, rosnącym poczuciem klęski, bezskutecznym mówieniem do głuchych, pisaniem w kagańcu, tłumaczeniem ażurowym umysłem tej prawdy, że są zniewolone, trawione korozją pamięci. Dlatego ma przygnębiające wrażenie daremności pisania, adresowania ich do ludzi ogarniętych przez samonakręcające się psychozy, żyjących pośród obłudy, przeinaczeń i zakłamanej historii, kreatur pogodzonych ze swoim egoizmem, wegetujących z nawyku do śniętego spokoju, zadowolających się złudzeniami, minimalną stabilizacją i kluczeniem pomiędzy świeczką, a ogarkiem.

Wtedy z „Dzienników” przebija gorycz, smutek niespełnienia. A także towarzyszy im zwiększająca się świadomość przemijania lat spędzonych na daremnym OCZEKIWANIU. Na co? Choćby na społeczne refleksje i normalne życie, na swobodę wypowiedzi, brak paszportowych dylematów czy zaspokojenie głodu nieskrępowanych podróży.

Wtłoczony w duszną izolację, zmęczony szarpaniną z karłowatymi ludźmi, od których zależał los jego publikacji, wieczny frustrat,

sceptyk, cynik, ironista i pesymista w jednej osobie, boleśnie odczuwa zmarnowany czas. Jako niespokojny, polemiczny, niesforny duch i moralizator z powołania, stale popada w twórcze rozterki: broni się przed krasomówczym hamletyzmem i jałowym pustosłowiem, a dostrzegając śmieszność swojej sytuacji, kpinkuje z siebie, bo ma uczucie, iż jest jak skryba bez pióra, inkaustu i kałamarza, muzyk bez słuchu i weny, krótko mówiąc: gaduła ukarany milczeniem.

Ratuje się więc ucieczką w zjadliwy chichot ze wszystkich, którzy wrobili go w ten paszlet. Chroni za parawanem szyderstwa.

Opędza przed napadami wściekłości, dostrzega absurd pisanego do szuflady, chodzenia na kompromisy, tworzenia pod pseudonimem, nonsens poruszania tematów zabronionych, ponieważ wie, że i tak nie będzie mógł opublikować tego, co mu w duszy gra.

Na kartach „Dzienników” porusza temat własnej jesieni życia.

Powraca do tego wątku bardzo często, wręcz natrętnie, co jest w miarę zabawne, zważywszy, że o swojej rychłej śmierci i starczej demencji mówi w wieku pięćdziesięciu siedmiu lat, a czeka go jeszcze dwadzieścia wiosenek z dużym hakiem.

„Dziennik” jest dla czytelników niewyczerpaną kopalnią wiedzy o postaciach, z którymi się spotyka. O ludziach reprezentujących różne dziedziny kultury. Muzykę, prozę, poezję, filozofię, publicystykę. Mówi w nim o znanych i nieznanach wydarzeniach przytaczając fakty z przemijającej epoki. Starczy wymienić kilku: Bacewicz, Penderecki, Lutosławski, Miłosz, Kołakowski, Słonimski, Iwaszkiewicz, Putrament, Gombrowicz, Bartoszewski, Gołubiew, Eile.

Jak umie, tak pisze, a że umie doskonale, to pisze z werwą, przekornie i błyskotliwie, z miazdzącą inteligencją, nie patyczkując się doborem słów, nie stroniąc od kolokwializmów, cytatów i przysłów, unikając ekwilibrystyki znaczeń; prosto z mostu.

„Dzienniki” powstają w ukryciu, w zeszytach, z myślą o późniejszej książce, o druku w sprzyjających warunkach. I myśl ta jest motorem, siłą napędową tworzenia zapisu. Jest też jedyną sposobnością pozostawienia po sobie świadectwa pełniejszego niż doraźna, mocno ocenzone bazgranina w reżimowych gazetach, gdzie musi się powściągać, ważyć słowa, mówić szyfrem.

Nie dlatego, by kogoś nie urazić, ale dlatego, by nie zamknąć sobie drogi do dalszych wypowiedzi. Natomiast w dziennikach nazywanych przez niego żółciowymi, pozwala

sobie na swobodę ciętych sformułowań, puszcza się na hazard politycznych spekulacji, intymność zwierzeń i nieskrępowane osady. Często kroć brutalne, niezasłużone, szczere do przesady, sprawiające przykrość ludziom z którymi ma na co dzień do czynienia.

Nie oszczędza w nich nawet przyjaciół i, pomimo przykrych doświadczeń, wciąż nie potrafi powstrzymać się przed wyrażaniem swojego zdania. Wynikają z niecierpliwości, rozczarowań i rozgoryczeń. Są więc dla niego zastępczą formą istnienia, ucieczką przed postępującymi, fizycznymi deklacjami wieku, odtrutką na życie z cenzurą, artystyczną rekompensatą za osobiste niepowodzenia i zachodzące w nim, biologiczne procesy; w nich jest oswobodzony od tombakowych i zezowatych myśli.

A jednocześnie te niesprawiedliwe opinie o przyjaciółach zdają się sprawiać mu radość, bo jako waleczna istota lubi się przekomarzać. Lubi czytać ich rozjuszone repliki. Na przykład zaczepony przez niego Tyrmand odpowiada z gryźliwym opisem jego postaci i charakteryzuje go jako zapijaczonoego niechluj z fryzjerskim wąsikiem. Na co, dokumentnie uszczęśliwiony Kisiel, wyraża się o Tyrmandzie z wielką czułością. Z czego płynie wniosek, że kruk krukowi nie nasobaczy pod ogon.

Życie do lustra

W dni szczególnie przybywamy z odległych stron. Opowiadamy – wśród drinkujących zwierzeń i niegłębokich rozmów – o zdarzeniach wysupłanych z przeszłości, wylażają nam z szarych komórek zapodziane anegdotki, barwne szczegóły słuchane w towarzystwie milusińskich, a pikantne momenty, gdy dziatwa śpi. Podniosłe ubrani, odprężeni, w otoczeniu rodziny oglądanej nieczęsto, krokiem dumnym i godnym idziemy na spotkania, imprezy, uroczyste zjazdy. Przepelnieni wewnętrznym blaskiem, nastawieni do świata przychylnie, siadamy za stołem czekając na spóźnialskich. Wyglądamy ich, aż przyjadą zmarznięci, gdy zaczną opowiadać, co u nich, co z synem, gdzie córka, jak im się powodzi. Grzejąc się herbatą mówią nam o tych, co nie mogli przyjechać i o tych, którzy nie przyjadą już nigdy.

Poważniejemy. Zamyślamy się nad losem, który ich nie oszczędził. Myślimy z czułością o tych, którzy jeszcze są wśród nas.

(Dokończenie na stronie 4)